

Teksty Drugie 1990, 3 , s. 128-133



Ziemia odzyskana

Ewa Kraskowska

Ziemia odzyskana

Zajmując się przez dłuższy czas dość uważnie problemami bilingwizmu, zwłaszcza w jego twórczym, literackim wydaniu, miałam okazję czytać wiele autokomentarzy poświęconych temu zjawisku i to autokomentarzy, które wyszły spod znakomitych piór. Nabokov pisał na przykład wielokrotnie (m.in. w autobiografii *Drugije bieriega*, angielska wersja pt. *Speak, Memory*) o trudzie zmagania się z materią języka angielskiego, którą pragnął urobić — i odniósł w tym względzie pełen sukces — zgodnie ze swoimi zamierzeniami artystycznymi, a także o dramacie, jakim było dla niego rozstanie się z ojczystym językiem rosyjskim. Brodski wkraczał w świat angielszczyzny z entuzjazmem zagorzałego anglofila, spotęgowanym pragnieniem „sprawienia przyjemności cieniowi” Wystana Audena, z którego myślą i wrażliwością poetycką pragnął się utożsamić. We wspomnieniach pisarzy wywodzących się z Międzymorza — Canettiego, Miłosza, Stempowskiego — dużo miejsca zajmują opisy wielojęzycznego i wielokulturowego świata, w jakim kształtowała się ich dojrzewająca osobowość. Ich twórczość zaświadcza, że wpływu tych wczesnych kontaktów z różnorodnymi kulturami na późniejszy stosunek do rzeczywistości nie sposób przecenić.

Swojej szczególnie wyostrzonej świadomości językowej bilingwalni pisarze często dają wyraz analizując własne przeżycia towarzyszące przechodzeniu z jednego języka na inny oraz porównując swój stosunek do języka artystycznego ze stosunkiem, który da się odczytać w dziełach innych pisarzy dwujęzycznych: Nabokov będzie chętnie mówił o swojej literackiej angielszczyźnie jako o przeciwieństwie angielszczyzny utworów Conrada, Brodski zestawi swoją sytuację z postawami Nabokova i Becketta, Venclova nawiąże do dwujęzyczności Brodskiego — i tak dalej. To zupełnie naturalne — wszak „wrastanie” w obcy język to proces trudny w każdych okolicznościach, a w sytuacji „ludzi pióra” może jawić się wręcz jako dramatyczny; bywa przecież, jak w przypadku Koestlera, że akt zmiany języka twórczości oznacza zmianę światopoglądu.

Refleksja na temat własnej lub cudzej dwujęzyczności, a dokładniej — na temat doświadczeń związanych z przyswojeniem sobie nowego języka jako języka najbardziej własnych, autorskich wypowiedzi, idzie zazwyczaj w parze z przemyśleniami o kondycji emigranta, tak się bowiem składa, że najciekawsze i najwięcej budzące emocji wypadki bilingwizmu w literaturze dotyczą ludzi „przemieszczonych”. Ich indywidualne historie powtarzają cykl rozpoczęty wykorzenieniem, przeniesieniem i przesadzeniem, a w udanych wersjach uwieńczeniem aklimatyzacją i rozwojem. Dodajmy także, że najszcześniejszym wariantem takiego losu jest taki, w którym przeszczepione istnienie zachowuje pamięć o swoim obcym pochodzeniu, a pamięć owa nie tylko nie przeszkadza mu swobodnie rozwijać się w nowych warunkach, ale wręcz pomaga wytworzyć wartości wzbogacające obie gleby, oba podłoża — to, z którego wyrosło i to, w którym przyszło mu rosnąć.

Całą tę botaniczno-ogrodniczą metaforykę świadomie zaczerpnęłam z książki, której chcę poświęcić uwagę, a w której również znalazła się ona (tj. metaforyka) na zasadzie przytoczenia. Historia Mary Antin, rosyjskiej Żydówki urodzonej w latach 80-ych ubiegłego wieku, która wyemigrowała z rodzicami do Ameryki w ucieczce przed jedną z fal pogromów i opisała swoje doświadczenie asymilacyjne w autobiografii zatytułowanej *The Promised Land*, dla Evy Hoffman¹ staje się matrycą, na którą nakłada ona swój własny los. Rozpoczynając lekturę jej z kolei wspomnień nie oczekiwałam w zasadzie żadnych niezwykłości, wiedziałam bowiem dokładnie, jak wielka jest w obrębie tej szczególnej tematyki konkurencja i jak trudno będzie autorce, z której nazwiskiem stykałam się po raz pierwszy, powiedzieć mi coś nowego. Szczęśliwie myślałam się. Hoffman, dziś redaktorka „The New York Times Book Review”, najwyraźniej wie dobrze, co przyciąga uwagę czytelnika (powiedzmy od razu, że przede wszystkim czytelnika amerykańskiego i to z kręgu *New York intellectuals*) i jak zjednać jego przychylną. Polka pochodzenia żydowskiego, urodziła się w Krakowie w roku 1945, jej samej oszczędzone zatem zostało doświadczenie szoa, ale nie jej rodzinie. W skąpych opowiadaniach rodziców odnajdywać będzie tragiczne detale śmierci swoich dalszych krewnych i okoliczności przetrwania najbliższych. Kiedy w roku 1959 odpływała „Batorym” do Kanady, w towarzystwie innych emigrantów, Żydów i nie-Żydów, nie była już dzieckiem, rozstawała się z bogatym, choć szczególnie kruchym światem dorastającego podlotka, obdarzonego nadto — jakżeby inaczej! — wrażliwością i talentem muzycznym.

Swoją własną historię Eva Hoffman podzieliła wyraziście na trzy części: *Raj (Paradise)*, *Wygnanie (Exile)* i *Nowy Świat (The New World)*.

Wracam wolnym krokiem ze szkoły do domu bawiąc się w grę polegającą na tym, że nie wolno postawić stopy na szczelinie pomiędzy kamiennymi kwadratami chodnika. Słońce igra cieniami i liniami. Nic się nie dzieje. Nie istnieje nic oprócz tej chwili, w której wędruję do domu, wędruję w czasie. Lecz nagle czas przesywa mnie swoim smutkiem. Ta chwila przeminie, pasemko czasu znika z każdym moim krokiem. Zaraz będę w domu i wtedy ta terazniejszość będzie przeszłością, myślę sobie, a czas wydaje się uciekać poza mną jak niewidzialny prąd wysany przez niewidzialny wir. Jak to możliwe, że ta pełnia, ta ja na tej ulicy, ta chwila całkowicie wypełniona, przeminie? (...) Ile chwil mam w życiu? Słyszę własny oddech: z każdym oddechem jestem bliżej śmierci. Zwalniam kroki: jeszcze nie jestem w domu, ale zaraz będę, jestem już tak blisko, ale jeszcze nie... jeszcze nie... jeszcze nie... Zapamiętaj, nakazuję sobie, jak gdybym w ten sposób mogła coś zatrzymać. Kiedy dorosisz, będziesz pamiętać tę chwilę. I będziesz pamiętać, że nakazałaś sobie ją pamiętać (s. 16—17).

Później, na innym już kontynencie, Eva spotka swoją rówieśnicę, która spędziwszy dzieciństwo w Indiach, w otoczeniu służby i wszelkiego

¹ Eva Hoffman, *Lost in Translation. A Life in a New Language*. E.P. Dutton, New York 1989.

luksusu, wspominać będzie ten okres jak pobyt w raju. Dla niej zaś rajem pozostanie ciasnawe krakowskie mieszkanie z fizyczną bliskością rodziny, sąsiadów i znajomych, z dochodzącymi wieczorem do dzieciennego pokoju głosami dorosłych omawiających za ścianą sprawy ich świata. W zacytowanym przed chwilą fragmencie poddana zostaje czytelnikowi tonacja, w jakiej odtwarzać powinien partyturę tych wspomnień. Osobiście nietrudno mi obudowywać przywoływane przez Hoffman okruchy rzeczywistości przypomnieniem własnego dzieciństwa i w tym znalazłam podczas lektury pierwszej części największą przyjemność. Przecież pamiętam doskonale owo poczucie bezpieczeństwa wynikające z nieustannej bliskości osób zajmujących wspólne nieduże mieszkanie, w którym sypialnia rodziców była jednocześnie salonem, a w kuchni urzędowała gospośnia. W czasach przedgierkowskich było dużo łatwiej o gosponię. Instytucji tej poświęca Hoffman sporo ciepłych słów, a aryjska gospośnia w żydowskiej rodzinie to w ogóle osobny temat; wiem coś o tym, bo sami takową odziedziczyliśmy po Żydach, którzy wyjechali z naszego miasta z tą samą falą, z którą zabrali się Wydrowie (panieńskie nazwisko autorki), dzięki czemu do dziś najbardziej oczekiwaną potrawą na naszym stole wigilijnym jest niezrównany karp po żydowsku.

Rodzina Evy Hoffman była zasymilowana i niezbyt religijna, stąd i kwestia antysemityzmu nie występuje na stronicach autobiografii w sposób szczególnie jaskrawy, a decyzja wyjazdu nie została bynajmniej poprzedzona jakimiś ekscesami. Polski antysemityzm pojawia się tu w swojej, nazwijmy to, pocziwej postaci, ot, któregoś dnia zaprzyjaźniona sąsiadka pyta panią Wydrową, czy to prawda, że Żydzi używają krwi niemowląt do wyrobu macy, co pobudza tę ostatnią do stereotypowej skądinąd refleksji, iż Polacy wysysają swój antysemityzm z mlekiem matki — i dobrosąsiedzkie stosunki toczą się nadal. Ów retoryczny stereotyp, powtórzony niedawno przez Izaaka Szamira jako komentarz do konfliktu związanego z klasztorem karmelitanek w Oświęcimiu i z wielkim upodobaniem cytowany przez prasę zachodnią, która najwyraźniej dostrzeża w nim szczególnie trafne ujęcie narodowego charakteru Polaków, dziwnie nie zgadza się z moim indywidualnym doświadczeniem Polki. Tak się bowiem złożyło, że osobiście nigdy nie zetknęłam się z żadnym polskim antysemitą, albo przynajmniej nikt taki przy mnie nie dał wyrazu swoim poglądom w tej sprawie. Prawdopodobnie miałam szczęście; moi rodzice wspominają swoich żydowskich znajomych z lat pięćdziesiątych jak najserdeczniej, w szkole przyjaźniłam się z Żydówką, której rodzice po wojnie zostali „repatriowani” z obecnych terenów sowieckich i jakoś nie przypominam sobie, abyśmy zastanawiali się nad przyczynami nieuczęszczenia przez nią na lekcje religii. Muszę jednak dopowiedzieć, że widać było w jej losie coś ciemnego, z czego nie zdawaliśmy sobie sprawy, bowiem w przededniu matury (na początku lat siedemdziesiątych) ta niezwykle zdolna dziewczyna odebrała sobie życie. Już się nie dowiem, czy pochodzenie miało na tę decyzję jakiś wpływ. Także w swoich latach dorosłych żyłam w błogiej nieświadomości istnienia problemu jako takiego

(co, moim zdaniem, świadczy o mnie wyłącznie dobrze), stykając się z nim poprzez literaturę i historię. Nie sędzę, aby mój przypadek był odosobniony.

Wróćmy jednak do książki Ewy Hoffman. Przywoływany przez autorkę świat dzieciństwa jest niesłychanie plastyczny, zmysłowy, intensywny, pełen dźwięków, zapachów, kolorów, kształtów, unaocznianych za pomocą czasu teraźniejszego narracji. Chwila metafizycznego olśnienia nad kasztanem w jego skończonej kasztanowości i smak panierowanego kotleta cielęcego w restauracji. Pierwsza miłość, zapach klatki schodowej i zapach Plant. Słowa posiadają swoją materialność — *recepta* na przykład ma w sobie kruchość pożółkłego starego papieru. Ten świat jest i rekonstruowany, i kreowany, nabiera wymiaru baśniowego do tego stopnia, że kiedy pojawia się w nim niejaki „Gomuka”, to jakby faktycznie wkroczył do akcji gnom².

Następne dwie części książki różnią się zasadniczo od pierwszej, w której rzeczywistość zewnętrzna odciska się na świecie doznań psychicznych i kształtując go determinuje jednocześnie osobowość podmiotu. Od momentu opuszczenia kraju ten wektor zmienia kierunek i to zewnętrzność będzie teraz postrzegana przez pryzmat trudnych doświadczeń wewnętrznych. Po udanym zakończeniu procesu asymilacji przyjdzie autorce nieraz weryfikować reakcje i oceny w stosunku do osób, z którymi zetknęła się jako świeżo przeszczepiona na nieznaną, obcy grunt. Centralnym tematem staje się przemieszczenie (*displacement, dislocation*) oraz zmiana języka. Eva Hoffman nie próbuje ujmować swoich przeżyć w uogólniającą formę rozważań na temat kondycji emigranta, nie próbuje też odkrywać mechanizmów rządzących procesem asymilacji, pasjonuje ją natomiast rekonstruowanie własnych doznań na poziomie najbardziej podstawowym. Antoni Słonimski nie mógł podobno znieść, że w Anglii nikt nie śmiał się z jego dowcipów i z tego powodu zdecydował się na powrót do kraju; Hoffman, która w Polsce uchodziła za dziecko błyskotliwe i inteligentne, pisze, że wysiadła na brzeg kanadyjski „Batorego” jako osoba poważna i zasadnicza.

Nigdy przedtem nie byłam zasadnicza, ale teraz w oczach moich nowych rówieśników jestem. Rzadko próbuję żartować, nie znam odpowiedniego slangu i nie umiem się odciąć. Zbyt kocham język, aby ryzykować fałszywy takt, moja duma jest zbyt wrażliwa, aby narażać się na ów brak zrozumienia, z którym spotykają się takie desperackie podejścia. Staję się bardzo poważną młodą osobą, moje wypowiedzi tracą swoją ironiczność i błyskotliwy dowcip, choć moja świadomość dostrzega ironię wszędzie (s. 116).

I dopóki otoczenie nie zacznie na nowo reagować uznaniem na jej celne riposty, dopóty autorce towarzyszyć będzie w codziennym życiu poczucie dyskomfortu.

² Skądinąd zdarza się autorce w owych wspomnieniach z dzieciństwa popełniać dość rażące niekiedy nieścisłości i Gomulka był według niej dowódcą Armii Krajowej, po wojnie aresztowanym jako bohater niekomunistycznego ruchu oporu!

Świadomość własnych zachowań werbalnych urasta do rangi centralnego problemu życiowego. Głos zmienia ton i barwę. Słowa odrywają się od swoich desygnatów, mówienie to nie nazywanie rzeczy, ale używanie języka. Świat skrywa się za mgłą, dominujące staje się poczucie dyslokacji, braku centrum, nierealności zdarzeń. Życie jest gdzie indziej — tak, cytując Kunderę, można określić główny symptom „choroby przemieszczenia”, być może nieuleczalnej, skoro uczucie to nawiedza, jak się zdaje, nawet starych, doświadczonych emigrantów. Ów „brak centrum” rodzi tendencje do ekscentryzmu, niezgody na ogólnie obowiązujący styl bycia i ogólnie wyznawane poglądy, albo, przeciwnie, potrzebę wtopienia się za wszelką cenę w tło. Opisana w *Lost in Translation* historia asymilacji to dzieje przewycięzania *displacement disease*; o pełnym powodzeniu świadczy to, że w przypadku Evy Hoffman „bycie obcą” i „bycie skądinąd” nie stało się przeszkodą w samorealizacji, lecz uzyskało status dodatkowej wartości. Autorka uczy się nowego języka „od góry”. Długo nienazwany pozostaje w tym języku świat doznań dziecięcych i równie długo w stanie dręczącej dezintegracji (pozytywnej) pozostaje jej osobowość. Dosyć paradoksalnie, fragmentaryczna znajomość języka nie jest przeszkodą w studiach, choć ich przedmiotem jest literatura — lata są sześćdziesiąte, w amerykańskim literaturoznawstwie dominuje New Criticism z formalistyczną zasadą *close reading* i nieznaną „aureoli skojarzeniowych” otaczających słowa pozwala lepiej dostrzegać powtarzalność struktur.

Na szczęście dla mnie nie istnieje świat poza tekstem; na szczęście, bo tak mało wiem o świecie, do którego odnoszą się czytane przeze mnie utwory (s. 180).

Lecz tej studentce nie chodzi o o b c o w a n i e (w słowie tym pobrzmiwa wszak echo alienacji) z dziełem literackim, ale o lekturę „przenikającą”, stwarzającą czytającemu poczucie jednoź z czytaniem, jak w owym cytacie z Yeatsa przywołanym na stronie 177:

*O body swayed to music, O brightening glance,
How can we know the dancer from the dance?*³
(Among School Children)

W społeczeństwie uciekającym od wygodnego „centrum” swoich mieszczkańskich rodzin, jakim jest amerykańska młodzież kampusowa końca lat 60-ych, pierwszoplanową cechą osobowości przybyszki staje się dążność do „scentralizowania” swojego świata, ułożenia go wedle przejrzyściej hierarchii wartości. To ją wprawdzie dzieli od jej rówieśników, ale jednocześnie pozwala ustabilizować rozchwianą tożsamość.

Wykształcona w duchu strukturalistycznym, analizująca semiotykę swej pierwszej randki, czujnie odnotowująca przesunięcie w semantyce przetrzeni („uczę się nowej rezerwy od ludzi, którzy cofają się o krok podczas

³ O, ciało w takt muzyki, o wzroku błyszczący
Jak odróżnić, gdzie taniec, a gdzie jest tańczący? — tłum. E.K.

rozmowy ze mną, bo stanęłam za blisko” — s. 144), przecierająca z determinacją ścieżki w świecie nowych znaków, Eva Hoffman w gruncie rzeczy łąknie jak najbardziej bezpośredniej bliskości z istotą bytu. Mówią nam o tym zapisy jej olśnień, podobnych do tych, które tak dobrze są znane z wierszy poetów metafizycznie uwrażliwionych, owych stop-klatek zatrzymujących na wieczność mgnienie, owych zadziwień nad skończoną pełnią kasztanowości (sroczości...), nad tajemnicą istnienia — byciem s o b ą. Życiowa przygoda — szukanie nowego miejsca w świecie i zmiana języka — potęguje wrażliwość, pozwala autorce głębiej wnikać i w siebie, i w zewnętrzność, tak materialną, jak i „pneumatyczną”. Jest w tej przygodzie także miejsce na odnalezienie „raju utraconego”. Podczas podróży do Polski w 1977 roku towarzyszy Evie Hoffman od pierwszego momentu silne poczucie identyfikacji z otoczeniem, choć jest ono tak różne od tego, do którego zdążyła już przywyknąć. Jazda z Warszawy do Krakowa w obskurnym przedziale pociągu wyzwala taką myśl:

O tak, jestem w Polsce, i aranżacja tej sceny, ci mężczyźni pochylający się w stronę kobiet, ich głosy pobrzmiwające sarkazmem i prowokacją, nóż krojący kielbasę — wszystko to w tajemniczy sposób będzie dla mnie zawsze bardziej naturalne niż nieskazitelni pasażerowie pociągu do Lond Island, składający starannie na pół *The Wall Street Journal* (s. 231).

Udaje się Evie Hoffman przyjąć owe nie zawsze budzące sympatię okoliczności życia polskiego z prostotą rzadko spotykaną u emigrantów wizytujących kraj i to z kolei budzi sympatię do niej. „Muszę dodać dno do języka, którego nauczyłam się od góry” — powiada ona w którymś momencie przedzierania się przez nagle nieprzezroczyisty świat słów, zjawisk i doznań. To najważniejszy krok w drodze do nowego „centrum”. Książka kończy się tak:

„Azalia, hiacynt, forsycja, delfinium” — mówi Miriam, żartobliwie nauczycielskim gestem wskazując na kwiaty. „Sprawię, że będziesz się czuła w Nowym Świecie jak w domu”. Patrzę na kwiaty; niektórych z nich nie widziałam nigdy przedtem: niektóre nazwy znam z książek, ale nie kojarzyłam ich do tej pory z konkretnymi kwiatami. Takie właśnie rzeczy przychodzą najpóźniej w moim dziwnym budowaniu języka od dachu. „Azalia” — powtarzam. „Forsycja, delfinium”. Nazwy są piękne i idealnie pasują do kwiatów. To są te kwiaty, te właśnie kwiaty, w tym właśnie ogrodzie w Cambridge. Od tego momentu nie ma już więcej platońskich azalii, nie ma polskich hiacyntów, do których te tutaj trzeba odnosić. Oddycham świeżym wiosennym powietrzem. W tej chwili żyję w tym właśnie miejscu. Jakże mogłoby to być inne miejsce? Bądź tutaj i teraz, myślę sobie w owej delikatnie ironicznej tonacji, z jaką te słowa bywają wypowiedane przez ludzi podobnych do mnie. Potem słowa rozplywają się. Czyste kolory załamują się w promieniach słonecznych. Mała przestrzeń ogrodu napełnia się ogromnym spokojem. Czas jak rzeka pulsuje w mojej krwi. Język tej chwili jest wypełniony. Jestem teraz tutaj.

Ewa Kraskowska